



Paweł Szott

# Być niewidzialnym



Poznań MTP, 2009

# Być niewidzialnym

**Z Pawłem Szottem, poznańskim fotografem ze Swarzędza, znanym w środowisku mistrzem fotoreportażu, zwycięzcą wielu konkursów fotograficznych oraz utalentowanym portrecistą – rozmawia Krzysztof Szymoniak**

**– Swarzędz, 23 marca 2011 roku, mieszkanie Pawła Szotta. Przez okno balkonowe wpada nieśmiało słońce prawie wiosenne, w kałuży światła na podłodze wygrzewa się pies domowy, pijemy herbatę, pogryzamy wafelki w czekoladzie i rozmawiamy o fotograficznej przygodzie gospodarza. Przygodzie, która stała się jego życiową pasją i źródłem wielu radości oraz paru pytań fotograficzno-egzystencjalnych. Pawle, masz 52 lata. Z tego półwiecza aktywnie fotografujesz od jak dawna?**

– Aktywnie i w miarę poważnie fotografuję zaledwie szósty rok.

**– Wcześniej nigdy nie miałeś aparatu w ręce?**

– Owszem, w roku 1978, ale nie nazwałbym tego fotografowaniem. To był taki sobie epizod. Byłem wówczas uczniem zasadniczej szkoły zawodowej i jednocześnie chodziłem dosyć krótko na zajęcia fotograficzne do poznańskiego Pałacu Kultury. Tam miałem kontakt z klasyczną ciemnią i chemią fotograficzną. Zapoznałem się z zasadami wywoływania filmów i wytwarzaniem odbitek, czyli była to tradycyjna obróbka materiałów. Bardzo mnie to wciągnęło, ale nie miało to wiele wspólnego z pytaniem, które mnie wtedy nurtowało, czyli – „Jak fotografować?”. Ponieważ nie kupiłem sobie wówczas własnego powiększalnika, epizod ów skończył się po kilku miesiącach, a ja nie doszedłem do etapu tworzenia własnych obrazów fotograficznych, czyli do pracy z aparatem.

**– I nic nie zostało z tej pierwszej przygody z ciemnią?**

– W zasadzie nic, no, może poza tęsknotą do tego miejsca.

**– Pamiętasz, jak się owa tęsknota objawiała?**

– Wtedy sobie tego nie uświadamiałem, ale dzisiaj wiem, że każde moje zetknięcie z fotografią wywoływało rodzaj pozytywnej emocji. Jako młody chłopak brałem do ręki gazetę czy jakiś magazyn i zawsze najpierw oglądałem zamieszczone na łamach tych czasopism obrazy fotograficzne. Ten odruch pozostał mi do dzisiaj, bo stale łapię się na tym, że gazetę czy tygodnik bardziej oglądam niż czytam. Wtedy, na początku, nie powstawała z tego żadna refleksja, ale z jakiegoś powodu czułem, że interesują mnie fotografie, z których coś wynika poza prostym komunikatem, fotografie, które prowokują do myślenia. Nigdy więc nie interesowały mnie ładne widoczki zamknięte w regularnym kadrze, szukałem w fotografii interesującej „brzydoty”. Oczywiście wszystko to dotyczy fotografii prasowej, czyli dokumentu i reportażu.

**– Nie zastanawiałeś się, kim są ludzie, którzy te zdjęcia robią? Zapamiętałeś z tamtych czasów jakieś nazwiska znanych fotoreporterów prasowych?**

– Nie zastanawiałem się nad tym, ponieważ nie było mi to wówczas potrzebne. Nie miałem też czasu, aby gromadzić jakąś wiedzę na ten temat.



Z zestawu „Pomnik” – I nagroda „Moja Wielkopolska 2009”; III nagroda „Wielkopolska Press Photo 2009”; II nagroda „W Obiektywie”, Kalisz 2009

**– A zatem to, co było widać na zdjęciu w gazecie interesowało cię bardziej niż to, co zawierał w sobie tekst obok zdjęcia?**

– Tak było zawsze. I zawsze patrząc na te zdjęcia, zastanawiałem się, dlaczego ja nie mogę być ich autorem? Dlaczego nie mogę tak fotografować?

**– Z tego wynika, że owo pytanie musiało ci towarzyszyć przez długie lata. W tym czasie wykonywałaś jakiś zawód, założyłaś rodzinę, stałaś się porządnym obywatelem, który chodzi do pracy, płaci podatki i... marzy o fotografii.**

– Z zawodu jestem elektromechanikiem samochodowym. Po szkole zasadniczej skończyłem jeszcze technikum i zdobyłem papiery mistrzowskie w poznańskim Cechu Rzemiosł. Dziesięć lat pracowałem jako elektryk samochodowy, następne dziesięć lat prowadziłem własną działalność w tej samej branży, a obecnie, też już około dziesięć lat, pracuję jako doradca techniczny w dużym zakładzie związanym z motoryzacją. A czy w tym czasie marzyłem o fotografii? Pewnie tak, ale fotografia nigdy nie była dla mnie celem samym w sobie. Moje życie układało się według kolejnych celów zawodowych, jakie sobie wyznaczałem, a wyznaczałem je, bo chciałem mieć pewność, że to co robię, robię naprawdę dobrze. Stąd z jednej strony technikum, a z drugiej papiery mistrzowskie. Połączyłem teorię z praktyką oraz wiedzę z umiejętnościami, aby mieć zadowolenie z wykonywanego zawodu. Ciągle jednak – patrząc na fotograficzną zawartość polskich gazet – zastanawiałem się w skrytości ducha, czemu ja nie próbuję tego robić.

**– Była jakaś odpowiedź na to pytanie?**

– Owszem, ale boleśnie prozaiczna. Nie zajmowałem się fotografią, bo trzeba było zarabiać pieniądze. Rodzina ma swoje wymagania i potrzeby. Chciałem też postawić własny warsztat samochodowy, a to zabierało i czas, i dostępne środki finansowe. W sumie, na fotografię analogową nie

starczało już ani czasu, ani pieniędzy, a przecież nigdy nie było to hobby szczególnie tanie.

**– Na początku XXI wieku pojawia się jednak, a właściwie upowszechnia, w miarę tania fotografia cyfrowa sprzężona z techniką komputerową.**

– I to był dokładnie ten czas, kiedy zacząłem myśleć o kupnie przyzwoitego aparatu, aby spróbować wreszcie fotografować. Warto pamiętać, że miałem wtedy już 42 lata. Dzisiaj, po wielu własnych doświadczeniach fotograficznych, po wielu bezskutecznych próbach wyciśnięcia z mini labów takiego poziomu jakościowego odbitek, który to poziom jest dla mnie absolutnym minimum, zaczynam doceniać i rozumieć fotografów, którzy – jak Boguś Biegowski, Waldek Śliwczyński czy Lech Szymanowski – chcą od początku do końca kontrolować proces technologiczny własnych zdjęć. Zaczynam rozumieć ich dbałość o efekt końcowy, bo sam ciągle spotykam się z rozżewem między tym, co widzę w kadrze na monitorze mojego komputera, a tym, co dostaję na papierowych odbitkach z laboratoriów fotograficznych. W ten sposób określone koszty wykonywania odbitek lokują po stronie strat, a efekty rzadko bywają zadowolające. Subtelne odcienie szarości nie są w reportażu, który uprawiam, aż tak istotne, ale muszą być chociaż akceptowalne. Ja nie mam jakichś tam, kosmicznych wymagań, ale chciałbym, żeby czerni na odbitce była czarna a nie na przykład zazieleniona.

**– Wkraczamy więc na ważny temat, który dotyczy niemal wszystkich fotografów cyfrowych skazanych na usługę laboratoryjną – z jednej strony świat uwolnił się od czasochłonnej, pracochłonnej i kosztownej fotografii analogowej oraz ciemni z mokrą chemią, ale z drugiej strony wszedł w pułapkę cyfrowej nieprzewidywalności, gdy mowa, jak sam twierdzisz, o wątpliwej jakości odbitek.**

– Ja to nazywam fotograficznym dylematem, dla którego nie ma dobrego rozwiązania. Dlatego, jak już wspo-



Z zestawu „SUMO” – I miejsce „Wielkopolska Press Photo 2008”

mniałem, zaczynam rozumieć fotografów, którzy kontrolują cały proces analogowy od początku do końca. Też bym się może za to zabrał, ale ja przecież nie żyję z uprawiania fotografii, nie mam też takich dochodów, aby założyć własną ciemnię i przenieść się do fotografii analogowej.

**– Wróćmy jednak do momentu, kiedy to na początku XXI wieku postanowiłeś zacząć robić zdjęcia. Twoje, przez wiele lat skrywane, tęsknoty fotograficzne nagle się rozbudziły za sprawą tanich i poręcznych aparatów cyfrowych. Czy coś jeszcze miało decydujący wpływ na ów stan psychiczny, w jakim się wówczas znalazłeś? Chodzi o stan gotowości do podjęcia pierwszych własnych prób fotograficznych. Mógł to być na przykład kontakt z Mariuszem Foreckim?**

– Zaczęło się od tego, że śledziłem ceny aparatów cyfrowych i porównywałem je z własnymi możliwościami finansowymi. A co do Mariusza, to nie przypominam sobie takiego jednego momentu, gdy los postawił go na mojej drodze. Coś musiało na pewno się zdarzyć, ale ja dzisiaj nie potrafię już odtworzyć naszej pierwszej rozmowy.

**– To ja ci powiem. Poznaliście się, gdy Mariusz przyjechał do twojego warsztatu ze swoim Fiatem Punto, nie wiedząc, że z tej usługi samochodowej wyniknie długoletnia znajomość fotograficzna.**

– No tak. Tak mogło być. Wiedziałem, że on robi zdjęcia, gdyż czasem pozostawiał w bagażniku statyw, ale historię jego życia poznałem dopiero niedawno, po lekturze kolejnej książki z serii Fotografowie Wielkopolski. Nigdy wcześniej z nim o tym nie rozmawiałem. Tak więc nie pamiętam szczegółów naszej pierwszej rozmowy, ale pamiętam, że poprosiłem go kiedyś o radę w sprawie zakupu pierwszej cyfrowki, na którą już było mnie stać. I to on wtedy wskazał mi nie jakąś tam „małpkę” Olympusa, którą chciałem kupić, ale oczywiście droższego kompaktowego Fuji. Powiedział mi, że to jest aparat, którym można zrobić coś więcej oprócz zwykłego pstrykania. Był to Fuji 5500, a kupiłem

go 31 grudnia 2003 roku. I tak się zaczęło moje oglądanie świata przez wizjer aparatu fotograficznego.

**– Co najpierw zobaczyłeś w tym wizjerze?**

– To co wszyscy, którzy zaczynają fotografować. A trwało to dosyć długo. Zbierałem więc wszelkie możliwe krajobrazy i widoki z najbliższego i nieco dalszego otoczenia, włącznie z podświetlaną na kuchennym stole martwą naturą. Nie odpuściłem też listkom, kroplom rosy, kwiatkom, robaczkom oraz wschodom i zachodom słońca. To była w sumie wielka frajda i wielka satysfakcja, gdy nauczyłem się obsługiwać swój aparat i mogłem niemal od razu, z tego tutaj balkonu zrobić pierwsze fotografie. Nawet, jeśli to zabrzmiało nieco sentymentalnie, to faktem jest, że wtedy po prostu spełniło się moje wielkie, przez lata skrywane marzenie. Cieszyłem się z faktu, że mogę wreszcie robić zdjęcia. W tym samym czasie zacząłem też interesować się prasą fotograficzną. Nieco później, gdy trochę dojrzałem, tym samym aparatem zrobiłem kilka przyzwoitych zdjęć. Zdarzyło się to podczas pierwszego poznańskiego Marszu Równości. Przekroczyłem wtedy pewien delikatny próg samoświadomości, bo z premedytacją poszedłem fotografować dynamiczną sytuację na ulicach dużego miasta.

**– Tymi zdjęciami wkroczyłeś do reportażu i dokumentu ulicznego. Co ważne – to był twój świadomy wybór.**

– Ten świat zaczął mnie od tamtej pory coraz bardziej wciągać. Aż wreszcie wciągnął tak bardzo, że już w nim zostałem.

**– Jesteś typem perfekcjonisty, więc – jak sędzę – nie minęło wiele czasu i zaczęłeś ze swoimi zdjęciami wychodzić na zewnątrz, czyli pokazywać je na konkursach fotograficznych.**

– No tak. A zaczęło się od tego, że u kogoś w rodzinie znalazłem taki mini folder pokonkursowej wystawy Wiel-



Z zestawu „SUMO” – I miejsce „Wielkopolska Press Photo 2008”



kopolska Press Photo z roku 2002. Jakiś rok, a może i dwa lata później dowiedziałem się, że w CK Zamek organizowane są spotkania fotograficzne. I tam właśnie pierwszy raz w życiu byłem świadkiem rzeczowej dyskusji (i co ważne – mogłem się jej przysłuchiwać) oraz oceny zdjęć, które w sporej ilości leżały na stołach, podczas gdy jury chodziło i się im przyglądało fachowym okiem. To był mój pierwszy kontakt z ludźmi, którzy mieli profesjonalne podejście do fotografii. Przeżyłem wtedy dosyć pozytywne oszołomienie. A kiedy opuszczałem już tę salę, w drzwiach podszedł do mnie obcy mi człowiek i wręczył kawałek papieru, ulotkę z informacją, z której wynikało, że w Wągrowcu są organizowane przez Lecha Szymanowskiego warsztaty fotograficzne. Człowiek ów, który mi tę ulotkę wręczył, powiedział wtedy: „Przeczytaj to. Może te warsztaty cię zainteresują”. Tym człowiekiem był Władek Nielipiński.

#### **– Skorzystałeś z oferty?**

– Oczywiście pojechałem do Wągrowca na te warsztaty, ponieważ bardzo potrzebowałem kontaktu ze środowiskiem, potrzebowałem wiedzy, nauki, rozmów o fotografii. Nie wiedziałem, kto to jest Lech Szymanowski i czym zajmuje się Władek Nielipiński. Po prostu chciałem być wśród tych, którzy dzielą się swoją pasją.

#### **– O czym myślałeś, jadąc wtedy do Wągrowca?**

– Nie ukrywam, że byłem pełen obaw, miałem dużą treść przebywając w towarzystwie osób posiadających imponującą, jak na moje możliwości, wiedzę i praktykę fotograficzną. Oglądałem kiedyś foldery wystaw pokonkursowych organizowanych w WBPICAK i marzyłem o tym, aby zdobyć takie właśnie umiejętności, dzięki którym choć jedno moje zdjęcie trafi do takiego katalogu.

#### **– No i kiedy był ten twój pierwszy raz?**

– Mam to pod ręką. Oto folder Objazdowej Galerii Fotografii, „Dokument – 2005”, wystawa pokonkursowa.

A w nim zdjęcie Pawła Szotta zakwalifikowane do wystawy. A na zdjęciu co? Oczywiście tęcza na tle zachmurzonego nieba. Fotka dosyć banalna, klasyczny cyfrowy piktorializm, nic ambitnego, ale byłem wtedy najszcześniejszym facetem na świecie. Nie dlatego, że zrobiłem zdjęcie tęczy, ale dlatego, że mój pierwszy w życiu cel fotograficzny został osiągnięty – ktoś zakwalifikował do wystawy i wydrukował moje zdjęcie.

#### **– Jak się czuleś na warsztatach fotograficznych w Wągrowcu?**

– Szczególnie przypadły mi tam do gustu (i mile je wspominać) wykłady, jakie na tych warsztatach prowadził profesor Piotr Chojnacki. To była dla mnie prawdziwa krynica wiedzy. Byłem zachwycony tym, jak profesor Chojnacki analizuje i rozbiiera na czynniki pierwsze jeden kadr. Był to dla mnie bardzo pozytywny szok i pierwszy prawdziwy kontakt z myśleniem fotograficznym. Atmosfera tamtych warsztatów fotograficznych w Wągrowcu pozostała we mnie na długo i wycisnęła wyrazisty ślad w mojej świadomości. Wyniesione stamtąd wrażenia sprawiły, że ciągle (i tak jest do dzisiaj) szukam kontaktów z różnymi środowiskami fotograficznymi. Brakuje mi takich codziennych spotkań (w znaczeniu: systematycznych), podczas których fotografowie pokazują swoje zdjęcia, dyskutują o nich, wymieniają się poglądami, wysnuwają interesujące refleksje. W miarę możliwości bywam wszędzie tam, gdzie pojawiają się osoby mogące rozszerzyć moje fotograficzne horyzonty, pogłębić moją wiedzę w tym zakresie.

#### **– Na przykład?**

– Staram się być na zakończeniu dużych konkursów fotograficznych, zwłaszcza gdy po wręczeniu nagród jurorzy na gorąco komentują swoje decyzje, omawiając poszczególne, zwłaszcza nagrodzone prace. Ostatnio tak się działo podczas konkursów Moja Wielkopolska czy Wielkopolska Press Photo. Dla takich chwil jestem gotów wziąć dzień wolnego w pracy. Dla mnie takie dyskusje o konkretnych



Z zestawu „Mikstat” – I miejsce „Moja Wielkopolska 2010”

zdjęciach to jest właśnie sedno pozainstytucjonalnej edukacji fotograficznej. Ta wiedza jest mi stale potrzebna.

**– Na pierwsze swoje konkursy z roku 2005 i 2006, podczas których pokazywałeś wschody i zachody słońca, tęcze oraz inne krajobrazowe klimaciki, wysyłałeś zdjęcia, żeby – jak rozumiem – w ogóle zaistnieć. Nagle jednak następuje w tobie przełom i zaczynasz uprawiać reportaż, dzięki któremu pojawiają się zwycięstwa, a ty plasujesz się w gronie najlepszych fotoreporterów prasowych Poznania i Wielkopolski. Co się stało?**

– Zdjęcia z pierwszego etapu, czyli te wszystkie klimatyczne krajobraziki, nie dawały mi do końca satysfakcji, takiej, powiedzmy „artystycznej”. Zdawałem sobie sprawę z tego, że podobnych, gotowych już zdjęć, są tysiące. I że skoro ja się tego nauczyłem, to każdy inny też może nauczyć się je robić. Nie mam nic przeciwko takim fotografiom jeżeli one sprawiają komuś radość, ale sam chciałem zająć się czymś nieco bardziej dynamicznym, czymś, co trwa chwilę, krótki moment i bezpowrotnie znika w przeszłości. Malownicze zachody słońca nad przejazdem kolejowym w Swarzędzu mogę sfotografować niemal każdego dnia, to samo dotyczy wschodów słońca nad rozlewiskami Warty, a poznańska „manifa” może zdarzyć się tylko raz w roku. Czułem, że muszę spróbować wejść w tłum, że muszę być tam, gdzie coś się dzieje. Interesowali mnie ludzie i sytuacje z nimi związane. Raz byli to ludzie siedzący w parku, a innym razem starsi panowie siedzący na takiej samej ławce przed rozbieranym właśnie pomnikiem generała Świerczewskiego. Owszem, podziwiam osoby, które fotografują przyrodę, podziwiam efekty ich pracy, ale osobiście nie mogę sobie pozwolić na to, aby przez pół dnia wabić dziecięta i czekać, aż usiądzie na tej jednej jedynej gałęzi, na której doskonale się prezentuje.

**– Ale jednak sam też posmakowałeś sukcesu jako fotograf przyrody.**

– To był rok 2006. Konkurs nazywał się „Od wschodu do zachodu słońca”, a organizatorem było Towarzystwo Wykorzystania Wód Termalnych w Czeszewie. Zdobyłem wtedy I i III nagrodę. Na jednym zdjęciu słońeczko wschodzi, a na drugim zachodzi. Tymi zdjęciami praktycznie zamknąłem swoją poprzednią działalność, czyli krajobrazowo-widokówką.

**– Gdybyście chcieli tę działalność jakoś podsumować, to można by powiedzieć, że zakończyłeś ją pięknym akcentem – zwycięstwem.**

– Tak to chyba wygląda. Pomyślałem wtedy – mam wschód słońca, mam zachód, liście mam, krople rosy mam, kwiatki i robaczki mam, a nawet mam drobny sukces w ładnych klimatach. A poza tym listki, robaczki i kolory jesieni będą każdego roku, więc szkoda na to czasu i energii. Starczy, pomyślałem jeszcze, bo więcej już z tego obszaru dla siebie nie wycisnę. Moje następne kadry są już próbą pokazania tego, co zdarzyło się w danym momencie, czego nie mogłem przewidzieć i co nie podlega żadnym, najmniejszym nawet inscenizacjom. W ten sposób dosyć płynnie przeszedłem od krajobrazów i widokówek do reportażu. Pierwsze dosyć udane zdjęcie uliczne wykonałem w Poznaniu, podczas Drugiego Marszu Równości w roku 2008 i podczas poznańskiego maratonu. Te kadry wysłałem do Kalisza na konkurs „W obiektywie”. Foty zostały tam zauważone przez jury i zakwalifikowane do wystawy pokonkursowej. Żeby tę wystawę obejrzeć z bliska, wzięłem w pracy dzień wolnego i pojechałem do Kalisza. Tymi właśnie zdjęciami zadebiutowałem w reportażu.

**– Jakie to było uczucie?**

– Stałem tam wśród innych uczestników wernisażu i byłem bardzo z siebie dumny. Zdałem sobie wtedy sprawę z faktu, że skoro nie jestem fotoreporterem prasowym, skoro nie stać mnie na zorganizowanie indywidualnej wystawy, to konkursy i wystawy pokonkursowe są praktycznie jedyną okazją, aby ze swoimi zdjęciami wyjść do ludzi,



Zlot motocykli, Krotoszyn 2010

żeby je w ogóle komuś pokazać, żeby ktoś chciał je ocenić i być może zauważyć wśród setek innych. Owo zauważenie jest dla mnie wartością samą w sobie. Kalisz, a konkretnie Ośrodek Kultury Plastycznej „Wieża Ciśnień”, jest zresztą dla mnie dosyć szczęśliwy, bo w zeszłym i w tym roku też jury zauważyło moje zdjęcia podczas kolejnych edycji konkursu pod nazwą „W obiektywie”. Za chwilę jadę tam odebrać jedną z dwóch równorzędnych drugich nagród.

#### **– Tylko druga nagroda?**

– Są dwie równorzędne drugie, a pierwszej nie przyznano. Jadę sprawdzić, co robią w reportażu inni, a przy okazji nacieszę oko wystawą. Sam fakt, że moje zdjęcia wiszą w bardzo niekiedy doborowym towarzystwie, dodaje mi energii do dalszych działań fotograficznych. Dzieje się coś, o czym jeszcze nie tak dawno tylko marzyłem i to bardzo nieśmiało – oto wzięci fotoreporterzy, niemal tuzy, a obok ja, skromny mechanik samochodowy ze Swarzędza. A w jury nazwiska zapierające dech w piersiach.

#### **– Co tym razem wysłałeś do Kalisza?**

– Złamałem zasadę, że ten sam materiał z „Moja Wielkopolska”, czy „Wielkopolska Press Photo”, który już się sprawdził, objeżdża pół Polski i startuje w kilku różnych konkursach. Tym razem do Kalisza wysłałem materiał zupełnie świeży, a konkretnie reportaż z odsłonięcia pomnika Chrystusa-Króla w Świebodzinie.

**– Skoro tak dobrze radzisz sobie w fotoreportażu, to nigdy nie chodziło ci po głowie, żeby rzucić robotę w warsztacie samochodowym i zatrudnić się w gazecie jako zawodowy fotoreporter?**

– Owszem, chodziło. Gdyby to było możliwe, to pewnie dawno bym już to zrobił. Nie widzę jednak w tej chwili realnych możliwości, aby tak się stało. Poza tym moi koledzy, którzy uprawiają ten zawód, przekonują mnie, że mam komfortową sytuację, bo robię w fotoreportażu tylko to,

co chcę, a nie to co muszę. Fotograf gazetowy ma wytyczne, które mnie nie dotyczą. Coś w tym jest. Byłem na kilku imprezach, które fotografowałem dla kogoś, czyli na zlecenie. I co? I okazywało się, że to nie jest taki łatwy chleb, bo muszę na zdjęciach mieć to, co zleceniodawca chce na nich zobaczyć. Rozumiem więc ograniczenia, jakie wynikają z pracy na etacie, ale z drugiej strony zazdroszczę fotoreporterom prasowym rytmu, tempa pracy i tych wszystkich tematów, do których mają dostęp, a które mnie omijają. A omijają mnie, bo ja o określonej porze muszę iść do swojej pracy, gdzie nie obnoszę się z moją pasją fotograficzną. Ja się jednak na swój los nie użalam i grzecznie do pracy chodzę.

**– O tym, czyli o reportażu, jeszcze porozmawiamy. Teraz jednak chciałbym dowiedzieć się, jak i dlaczego Paweł Szott, początkujący fotograf ze Swarzędza, trafił do Miejskiego Ośrodka Kultury w Gnieźnie, a konkretnie do takiej sekcji czy klubu funkcjonującego tam pod szumną nazwą Gnieźnieńska Akademia Fotografii Amatorskiej? A pytam o to, ponieważ przez kilka sezonów spotykałem cię tam, głównie na wernisażach poplenerowych i uroczystych pasowaniach kolejnych „Mistrzów GAFY”.**

– Do Gniezna trafiłem przez Wągrowiec. Najpierw jednak wpadła mi w ręce informacja-ulotka, z której wynikało, że jeśli chcę zostać wolontariuszem na warsztatach fotograficznych dla osób niepełnosprawnych intelektualnie, to mogę się zgłosić do Wągrowca, gdzie zostaną przeszkoleni i przygotowani do działań w obrębie fotograficznej terapii zajęciowej. Podszedłem do tej informacji z dużą rezerwą, ponieważ nie potrafiłem sobie wyobrazić siebie w kontakcie z osobami niepełnosprawnymi intelektualnie. Słabość tego przedsięwzięcia widziałem po swojej stronie. W końcu jednak wybrałem się do Wągrowca na to szkolenie, aby – jak sądziłem – zanim zrobię coś dla innych, najpierw zrobić coś dla siebie i czegoś się o sobie samym dowiedzieć. Potem pojechałem do Gniezna na swoje pierwsze warsztaty fotograficzne dla osób niepełnospraw-



Poznań, 18.11.2006

nych intelektualnie. Byłem jeszcze trzy razy na podobnych warsztatach, ale już w innych miejscowościach, a w tym roku zgłosiłem się po raz kolejny. W każdym razie będąc w Gnieźnie, na tych właśnie warsztatach poznałem ludzi z GAFY. Zaprzyjaźniłem się wtedy z Anią Farman i Marcinem Słowińskim, a przez nich – ponieważ potrzebowałem kontaktu z jakimś sympatycznym środowiskiem fotografów – trafiłem na zajęcia do Miejskiego Ośrodka Kultury. W GAFIE pojawiałem się przez dwa lata, a potem przestałem jeździć na spotkania, bo jednak ze Swarzędza do Gniezna jest dosyć daleko, a paliwo nie jest za darmo. Poza tym czekały na mnie różne inne sprawy i obowiązki.

**– Czy, poza aspektem koleżeńsko-towarzyskim, widziałeś tam dla siebie szanse rozwoju. Przecież w GAFIE nikt nie uprawia reportażu. A już na pewno nie robił tego fotografujący dyrektor MOK-u i założyciel GAFY, czyli Paweł Kostusiak.**

– W pewnym sensie takie szanse istniały, ponieważ poznałem tam fajnych ludzi, którzy zajmowali się fotografią na bardzo przyzwoitym poziomie. W niektórych obszarach, na przykład w portrecie, fotografii studyjnej, fotografii otworkowej czy w makro, reprezentowali dużo wyższy poziom od tego, co ja mogłem pokazać. Szczególnie polubiłem Anię Farman, która ujęła mnie swoją wiedzą fotograficzną i zawsze pełnym życzliwości urokiem osobistym. Mój kontakt z GAFĄ urwał się po plenerze nad jeziorem w Borach Tucholskich. Sam plener był miły i sympatyczny, ale odrobinę się załamałem po obejrzeniu wystawy poplenerowej.

**– Nie podobała ci się?**

– Bardzo mi się podobała. Było tam dużo ładnych zdjęć, bardzo ładnych kolorowych ujęć, tylko że wszyscy pokazali na wystawie niemal te same kadry. Każdy z nas w końcu fotografował to samo jezioro, ten sam mostek, te same drzewa i tę samą hubę. W jednej chwili zdałem sobie sprawę z faktu, że to nie jest kierunek dla mnie. Nigdy nie ciągnęło

mnie do widokówek. Raz już przecież z tego świata krajobrazów odszedłem. Tak więc z pełnym szacunkiem dla najlepszych w tej grupie, ale ja dla własnego dobra musiałem odejść, zwłaszcza że próbowałem już w tym czasie iść w innym kierunku.

**– Jednak później, zwłaszcza na rocznych podsumowaniach GAFY, kiedy ogłaszano nazwisko kolejnego mistrza, widziałem cię zawsze gdzieś z boku w otoczeniu kilku ambitnych dziewczyn, które podziwiały twoje najnowsze obrazy fotograficzne, oczywiście zawsze był to reportaż.**

– To, że one, czyli na przykład Ania i Dominika, interesowały się moimi fotoreportażami, mogło wynikać z faktu, że także pociągał je reportaż, ale nie znalazły w sobie na razie dosyć odwagi, żeby wejść w tłum, gdzie fotografuje się w bezpośrednim kontakcie z nieobliczalną niekiedy ludzką reakcją. Dzisiaj dla mnie jest to oczywistość, ale na początku też musiałem się tego nauczyć – bliski kontakt z człowiekiem, dynamizm sytuacji, w aparacie stałe szkło (zapomnij o zoomie) i fotografuj tak, żeby cię nikt nie widział, jakbyś był niewidzialny. U mnie z tym jest drobny kłopot, bo jestem już posiwiiałym starszym panem. Ta moja siwizna niekiedy mi pomaga, bo ludzie traktują mnie, jak solidnego fotografa, który swoimi zdjęciami może wypromować dane zjawisko, daną sytuację, czy dane miejsce (co nie jest prawdą, bo niczym takim się nie zajmuję), ale kiedy pojawiają się na imprezach plenerowych, wśród kibiców na imprezach sportowych, czy na jakichś protestach z absolutną przewagą młodzieży, jestem przez te siwe włosy natychmiast postrzegany jak szpieg z krainy deszczowców, czyli ogólnie jak dosyć podejrzany typek, który robi zdjęcia nie wiadomo po co i nie wiadomo dla kogo. W tej drugiej sytuacji zdobycie zaufania z siwą głową jest dużo trudniejsze, ale nie jest niemożliwe.

**– Podsumujmy twoje kontakty ze środowiskiem gnieźnieńskim. Co dla ciebie wynika ważnego z tamtych dwóch lat spędzonych na łonie GAFY?**



Zawody Paintball, Poznań 2008



– Wynika sporo dobrego. Poza przyjaźniami, właśnie w Gnieźnie po raz pierwszy spróbowałem fotografii studyjnej pod czujnym okiem wspomnianego już wcześniej Marcina Słowińskiego. To za jego sprawą na zajęciach GAFY wykonałem pierwsze w życiu portrety. Te ćwiczenia pozwoliły mi poznać własne możliwości i własną wrażliwość fotograficzną w obszarach, których zazwyczaj nie penetruję okiem kamery. To, czego się tam przy okazji dowiedziałem o sobie, może być zacynem dla pierwszych prób zarabiania pieniędzy przy pomocy aparatu fotograficznego.

**– Skoro zaszliśmy tak daleko, to powiedz, czy dzisiaj jesteś na takim poziomie świadomości i umiejętności, że mógłbyś już zacząć zarabiać fotografią na chleb?**

– Racjonalnie rzecz biorąc odpowiedź na to pytanie nie istnieje. Żeby to sprawdzić, musiałbym się najpierw znaleźć w takiej sytuacji. Czym innym jest bowiem fotografowanie dla przyjemności i okazjonalne zarobkowanie, a zupełnie czym innym regularne przyjmowanie zleceń i branie pełnej odpowiedzialności za efekt końcowy.

**– Ale ja cię pytam o to, czy czujesz się na tyle silny, aby podjąć albo pracę fotoreportera w gazecie lub tygodniku, albo zacząć świadczyć usługi fotograficzne wszelkiej maści? Powiedzmy, że nadarza się dobra okazja, aby sprawdzić swoje umiejętności, więc wchodzisz w to czy nie wchodzisz?**

– Silny się nie czuję, bo jestem dopiero na początku drogi, ale gdyby od takiej decyzji miała zależeć moja przyszłość, to podjąłbym ryzyko zmierzenia się z tym wyzwaniem. Gdybym miał jakąkolwiek gwarancję chociażby małego stałego dochodu z pracy wykonanej aparatem fotograficznym, to znalazłbym w sobie odwagę, aby spróbować utrzymać się na rynku usług fotograficznych. Może zmaterializowałaby się w ten sposób dewiza szczęśliwych ludzi: robię to, co lubię i jeszcze mi za to płacą.

**– Mariusz Forecki powiedział, nie postępując się nazwiskiem (ale wiemy, że to chodzi o ciebie), że jest w Poznaniu wybitnie uzdolniony fotograficznie amator, dla którego w zasadzie nie ma widoków na fotograficzny profesjonalizm. A nie ma, bo jesteś w wieku, kiedy świat już nie inwestuje w człowieka. Mariusz powiedział to z podziwem dla twoich umiejętności, ale i z troską o twoją przyszłość. Chcesz to jakoś skomentować?**

– Mój przypadek można rozpatrywać w zasadzie jako ciekawostkę przyrodniczą. Cóż, wziąłem się pewnie za coś, za co nie powinienem się brać, albo wziąłem się za to trochę za późno, tak o 20, przepraszam, o 30 lat za późno. Skoro jednak – zdaniem fachowców – zaczynam sobie jako tako radzić z reportażem, to chyba coś trzeba z tym zrobić. Słowa wypowiedziane przez Mariusza w twojej z nim rozmowie przeanalizowałem wielokrotnie, bardzo dokładnie i wygląda na to, że niestety muszę się z nim zgodzić. A muszę się z nim zgodzić, bo na rynku pracy żadnej oferty dla mnie nie ma. Jakiś czas temu myślałem o tym, aby rozpocząć zaoczne studia fotograficzne w Opawie, ale w końcu doszedłem do wniosku, że takiego amatora jak ja nikt tam na studia nie przyjmie. No, bo powiedzmy szczerze, co ja mogę tam pokazać na egzaminie? Kilka fotoreportaży i parę dyplomów z konkursów fotograficznych?

**– Może takie myślenie było błędem. Może trzeba było się uprzeć i jechać z teczką na egzamin.**

– A o pieniądze na te studia zacząłbym się martwić później? To jednak spore ryzyko. Póki co jest jak jest i chwilowo inaczej nie będzie. Dzisiaj nie stać mnie na sfinansowanie sobie studiów fotograficznych. Tak więc, skoro nie mam pola manewru, rozmowa o tym jest niestety bezprzedmiotowa. To oczywiście nie zmienia faktu, że odczuwam głód wiedzy, że ciągle szukam kontaktu z osobami, od których czegoś mógłbym się dowiedzieć i nauczyć. Potrzebne jest mi nie tylko doskonalenie warsztatu, ale i rozwijanie intelektu. Sam sobie z tym wszystkim nie poradzę.



Poznań MTP, zawody konne 2010

**– A zatem, skoro nie studia fotograficzne, skoro nie zawodowe uprawianie fotografii, to co?**

– Żeby odpowiedzieć na to pytanie, posłużę się smutną raczej anegdotą. Tak się składa, że nie mam swojej strony w Internecie, więc moje zdjęcia można obejrzeć tylko na wystawach pokonkursowych. Konkursy są OK, ale zastanówmy się, jak długo jeszcze można wysyłać na nie zdjęcia? Bywam tu i tam, fotografuję wszędzie, gdzie się dzieje coś ciekawego i gdzie mogę się pojawić. Robię więc te zdjęcia, robię je także konkretnym ludziom, a w zasadzie głównie z udziałem ludzi, więc ci ludzie podchodzą do mnie i zaniepokojeni pytają: „Czy te zdjęcia trafią do Internetu?”. Odpowiadam, że nie, bo nie mam swojej strony w Sieci. Oni najpierw się uspokajają, że ich wizerunki nie będą pokazywane w Internecie, ale zaraz potem zadają kolejne pytanie: „To po co pan właściwie robi te zdjęcia?”. I w tym momencie nie ma dobrej odpowiedzi, a przecież udzielić jej trzeba. Sytuacja staje się niezręczna, a ja mam o czym myśleć, bo po co właściwie robię to wszystko? Też nieraz zastanawiam się nad tym i też chciałbym to wiedzieć.

**– Jaki masz zatem pomysł na siebie, jako fotografa?**

– Być może najlepszym rozwiązaniem w mojej sytuacji byłoby prowadzenie zajęć fotograficznych z młodzieżą. Jakiś klub czy sekcja fotograficzna w domu kultury mogłaby coś zmienić w moim życiu. Jest tylko mały problem – mimo, że mam ukończony kurs pedagogiczny, to jednak nie mam uprawnień instruktorskich do prowadzenia takich zajęć.

**– Jakiś czas temu Włodek Nielipiński próbował taki dwuletni, profesjonalny kurs dla instruktorów zorganizować w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej, ale nie było chętnych. Kurs więc nie wystartował.**

– Ja się zgłosiłem na ten kurs, nawet biorąc pod uwagę fakt, że będę musiał za niego zapłacić, a nie były to, jak na moje warunki, małe pieniądze. Istniało w tym pewne ryzyko, bo dzisiaj jest tak, że jednego dnia pracujesz, a następ-

nego dnia możesz już nie mieć zajęcia i dochodów. Kurs w każdym razie zapowiadał się świetnie, podany już był nawet wstępny program zajęć, wspaniali wykładowcy, kopalnia wiedzy, ale niestety...

**– Ponieważ jednak kurs nie doszedł do skutku, to i ten problem nie istnieje, tyle tylko, że nadal pozostajesz cholernie zdolnym amatorem bez jakichkolwiek uprawnień zawodowych. Patrząc na to chłodnym okiem, można dojść do wniosku, że praktycznie pozostają ci tylko konkursy fotograficzne, jako jedyny skuteczny sposób promowania swojego nazwiska i swoich umiejętności. Bywasz na konkursach także poza Poznaniem?**

– Najbliżej mi oczywiście do konkursów poznańskich, zwłaszcza tych, organizowanych przez WBPiCAK, choć – rzecz jasna – nie tylko, ale ostatnio wysłałem swoje zdjęcia do Turku, do Kalisza, do Świdnicy i do Pacanowa.

**– A nie myślałeś o jakimś dużym konkursie w Warszawie, Krakowie, Gdańsku, czy Wrocławiu, w którym można spotkać fotografów z tej prawie najwyższej półki?**

– Myślę o tym. I właśnie w tej chwili przygotowuję się do udziału w jakiejś prestiżowej imprezie. Zastanawiam się tylko, gdzie ta moja fotografia pasuje, bo w typowych konkursach prasowych chyba nie za bardzo się mieszczę.

**– Wobec tego pytanie z innej beczki: w przypadku fotoreportażu, który uprawiasz z dużym powodzeniem, oprócz talentu, refleksu i dobrego oka trzeba jeszcze mieć czas na bywanie w wielu różnych miejscach, niekiedy bardzo od siebie odległych. Jak ty sobie z tym radzisz? Twoja fotografia wymaga przecież sprawnej logistyki.**

– To jest poważny problem. Moje życie zostało podporządkowane fotografii. Każdy najbliższy czas (dajmy na



Przed koncertem, Sulęcín 2007

to, tydzień lub miesiąc) planuję w ten sposób, że najpierw patrzę, co dzieje się w danym miesiącu i gdzie w związku z tym można by pojechać. Potem dopiero planuję resztę. Poza tym każdą sobotę i każdą niedzielę spędzam poza domem. W te dni zawsze gdzieś fotografuję. Trudniej jest, gdy coś naprawdę dla mnie interesującego dzieje się w środku tygodnia. Bywa i tak, że nie mogę być tam w danym dniu, bo nie mogę legalnie urwać się z firmy, więc jestem w danym miejscu dzień wcześniej lub dzień później. Zbieram jakies fotograficzne okruchy, z których czasem udaje się coś sensownego poskładać. Tak było na przykład ze zdjęciami, które robiłem w Poznaniu podczas rozbierania pomnika Świerczewskiego. Kulminacyjnego momentu na zdjęciach nie mam, bo tego dnia po południu byłem w pracy.

#### **– I cierpiełeś z tego powodu?**

– Delikatnie mówiąc. Chciałem tam być, bo potrzebo- wałem kilku zdjęć. Miesiąc wcześniej fotografowałem to miejsce, gdy byli żołnierze generała Świerczewskiego protestowali, aby nie burzyć tego pomnika, a teraz, gdy go burzą, mnie tam nie ma... Ostry dyskomfort. Pojechałem tam po pracy. Pomnika oczywiście już nie było. Poprosiłem więc kierownika budowy, aby wpuścił mnie na ten teren następnego dnia rano, ale zanim przyszli robotnicy, zanim zaczęli rozbierać resztki cokołu, to ja już znowu musiałem być w pracy. I tak to wygląda. Swoje życie wewnętrzne, emocjonalne podporządkowałem fotografii, ale do firmy, gdzie mam etat, muszę chodzić bez oglądania się na terminy fotograficzne, bo tam jest mój chleb.

#### **– Dużo ci w ten sposób uciekło dobrych okazji do zrobienia ciekawych zdjęć?**

– Pewnie dużo, ale zaczynam sobie zdawać sprawę z tego, że wszędzie być nie jestem w stanie, a nawet nie muszę. Na przykładzie tego nieszczęsnego pomnika okazało się, że ciekawe zdjęcia można zrobić dzień po. Nie było mnie tam o godzinie „0”, ale ponieważ byli tam wszyscy inni, więc wtedy, jak sędzę, trudno byłoby zdziałać w ma-

terii fotograficznej coś oryginalnego. A nawet z tych okruc- chów fotograficznych udało się zbudować zestaw zdjęć zauważony przez jury konkursu Wielkopolska Press Pho- to. Inaczej było z odsłonięciem pomnika Chrystusa-Króla w Świebodzinie, bo tam wszystko działo się niemal wyłącz- nie w kulminacyjnym momencie. Dzień przed i dzień po nie miałbym tam czego fotografować.

#### **– Przemawia przez ciebie determinacja i świadomość zawodowca.**

– Warto jednak wspomnieć i o tym, że jadąc na konkret- ny fotoreportaż, celując w konkretny temat, nigdy nie mam pewności, że przywiozę zdjęcia. Powody kłęski bywają róż- ne, ale zdarza się, że są to powody nie do przeskoczenia. Tak było na przykład ze święceniem zwierząt w Mikstacie. Pojechałem kawał drogi, straciłem czas i pieniądze na pa- liwo, spałem w samochodzie na stacji benzynowej. I co? Wróciłem nie z tym, na co liczyłem, bo niestety zawiedli ci, z którymi byłem wcześniej umówiony. Zdjęcia przywio- złem, ale niedosyt pozostał, bo za włożony w ten wyjazd wysiłek liczyłem na lepszy efekt. Na szczęście niekiedy bywa i tak, że jadę spotkać się prywatnie ze znajomymi, impreza towarzyska okazuje się drobnym niewypałem, ale zupełnie przypadkowo robię w okolicy jedno dobre zdję- cie, które na pewno kiedyś się przyda. Czasami nie przywo- żę nic ciekawego, gdyż ja w danej chwili i w danym miejscu tego „nie widzę”. A nie robię nic na siłę, zwłaszcza czegoś, co mi nie jest potrzebne. Marzę o tym, aby z każdego wy- jazdu przywieźć chociaż jedno zdjęcie.

#### **– Pawle, pokazałeś mi przed chwilą kilkadziesiąt akredytacji z różnego rodzaju imprez, gdzie fotogra- fowałeś i skąd pochodzą niemal wszystkie twoje na- grodzone w konkursach zdjęcia. Jak zdobywasz takie akredytacje?**

– Mam legitymację współpracownika agencji prasowej, dzięki czemu mogę akredytować się na interesujących mnie imprezach. Oczywiście mogę też kupić bilet czy



W oczekiwaniu na zawody w pływaniu synchronicznym, Poznań 2010 – III miejsce konkurs fotograficzny „Wszystkie Dzieci Świata”, Pacanów 2010

wejściówkę na tę samą imprezę, rzecz w tym tylko, że bilet jest płatny i jednorazowy, a akredytacja umożliwia mi wchodzenie i wychodzenie dowolną ilość razy. Poza tym dzięki akredytacji mogę nieraz dostać się tam, gdzie przeciętny uczestnik imprezy nigdy nie wejdzie, na przykład na zaplecze, za kulisy, wyjątkowo nawet na scenę. Dzięki tym możliwościom mogę skuteczniej planować swoje wyjazdy i realizować pomysły. Na marginesie tych rozważań dodam tylko, że w 90 procentach przypadków akredytację chowam do kieszeni, żeby nie zwracać na siebie uwagi podczas robienia zdjęć, ale w sytuacjach, gdy jest ona potrzebna, a nawet niezbędna, bo „proszą” o nią panowie ochroniarze, wtedy oczywiście mam ją na wierzchu, na najbardziej widocznym nawet z daleka miejscu.

**– Z tego, co mówisz, wynika, że – wbrew pozorom – dobra organizacja i planowanie działań fotograficznych, to ważny element w życiu fotoreportera.**

– Muszę wszystko dokładnie zaplanować, ponieważ, jak już wspomniałem wcześniej, dotyka mnie wiele różnych ograniczeń, nie tylko zresztą czasowych. Należy w to również wliczyć ograniczone możliwości finansowe.

**– Zastanawiam się, jak układasz sobie to wszystko, na przykład w związku z obowiązkami domowymi, których przecież także nie brakuje?**

– Kilka lat temu, kiedy zaczynałem interesować się fotografią, na pierwsze warsztaty do Wągrowca oraz na wszelkie spotkania fotograficzne i otwarcia wystaw, w których coś tam mojego wisiało, zawsze jeździłem wspólnie z żoną. Ona dzieliła ze mną pierwsze drobne sukcesy i różne fotograficzne radości. Jej wsparcie było dla mnie bardzo motywujące. Teraz już wiemy, że można razem jeździć na warsztaty, spotkania i wernisaże, ale nie można jeździć rodzinnie tam, gdzie ja chcę fotografować i skupić się na tym, co mam przed obiektywem. Próbowaliśmy tę okoliczność testować na różne sposoby, na zasadzie, że ja fotografuję, a żona zwiedza, odpoczywa, idzie do kina czy słucha

muzyki, ale nic z tego nie wychodziło. Ja już wiem, że jeśli muszę myśleć podczas realizowania reportażu o kimś drugim, o godzinie wieczornego spotkania przy samochodzie i powrocie do domu, to zdjęć nie ma. Tak więc albo jestem z rodziną na imprezie towarzysko i relaksowo, albo fotografuję. Połączyć tego nie potrafię. To samo zresztą dzieje się, gdy w to samo miejsce, na to samo zdarzenie jedzie dwóch, trzech umówionych fotoreporterów. Owszem, taki wyjazd jest tańszy, dodatkowo motywuje do wysiłku, ale w ostateczności jeden drugiemu mimo woli odrobinę „przeszkadza”, bo zdarza się, że ja, jako największa gapa, zapatrzę się na coś i niechcący wchodzę koledze w kadr.

**– Skoro żona już z tobą nie jeździ, to jak jest w waszym stadle z akceptacją twojej pasji?**

– Na szczęście z tym dotychczas nie miałem problemu. Pierwszymi recenzentami moich zdjęć nadal jest żona lub któryś z synów. Jeżeli pokazuję w domu jakieś zdjęcia i pada pełne pozytywne niedowierzanie pytanie: „to naprawdę są twoje fotografie?”, to znaczy, że znowu coś mi się udało. A czy akceptują to moje fotograficzne zakręcenie? Chyba mieli czas się już do tego przyzwyczaić, a teraz mogą przynajmniej co sobotę i niedzielę ode mnie odpocząć.

**– A jak to wygląda w praktyce? Myślę na przykład o budżecie rodzinnym.**

– Jakiś czas temu Mariusz Forecki przekonał mnie, że podczas określonych warunków oświetleniowych nie mogę już pracować bez lampy błyskowej. Taka lampa kosztowała około 1500 złotych. W tym samym czasie żona poinformowała mnie, że pilnie potrzebna jest nam nowa lodówka w przybliżonej cenie. I co? I kupiłem lampę, a lodówkę za jakiś czas wzięliśmy na kredyt. Spłacamy ją do dzisiaj. Tak się to nam sympatycznie układa. Gdyby jednak nie było widać efektów moich działań fotograficznych, to pewnie lodówkę kupilibyśmy za gotówkę, a do teraz kombinowałbym, jak tu wziąć lampę na kredyt. I byłoby to zupełnie zrozumiałe.



Z zestawu „Czipowanie” – III nagroda „Wielkopolska Press Photo 2009”



**– Powiedziałaś, że twoja rodzina czasem z niedowierzaniem patrzy na twoje nowe zdjęcia, co jest oczywiście rodzajem komplementu. Masz jakiś własny sposób na udany kadr?**

– Nic specjalnego. Idę lub jadę w miejsce, gdzie może dziać się coś interesującego i po prostu robię zdjęcia. Oczywiście, robiąc krajobrazy lub widokówki miejskie mógłbym dochodzić do własnych kadrów poprzez oglądanie tego, co już zrobili inni na ten sam temat, ale w fotoreportażu taka możliwość praktycznie nie istnieje, bo tam pracuje się w pełnej gotowości nie wiedząc, na co trafisz za minutę lub kilka sekund. W fotoreportażu niczego nie można zaplanować, poza wyborem zdarzenia. Można jednak sporo się nauczyć patrząc, jak pracują inni fotoreporterzy. Miałem to szczęście, że spotykając się z kolegami na różnych imprezach mogłem obserwować w działaniu znakomitych zawodowych fotoreporterów, takich jak Marek Lapis, Tomasz Reiss, Mariusz Ciesielski czy wspomniany już wcześniej Mariusz Forecki. I wielu, wielu innych. Śmiem twierdzić, że takie obcowanie fotograficzne z profesjonalistami, a zatem krótka wymiana zdań, życzliwe podpowiedzi, uwagi i wskazówki wynikające z ich niesamowitego doświadczenia, jest bezcenne. Tego nie da ci żaden kurs. Podczas takich „obserwacji” nikt ci nie powie, jak się ustawić, co widzieć, kiedy nacisnąć na spust migawki, bo na to nie ma prostych recept, ale niekiedy wiele mówią proste sytuacje – pchać się do przodu, czy zostać z boku, dopalać obraz lampą, czy może zrezygnować z flesza, na jakiej czułości matrycy jeszcze da się fotografować w danej sytuacji itd., itp. To są te umiejętności, które przychodzą z czasem, z latami własnej praktyki wzbogaconej o doświadczenie wynoszone z kontaktów z profesjonalistami. Nie zaszkodzi ugruntować swoje praktyczne umiejętności lekturą dobrych podręczników, dzięki czemu potem teoria i wiedza wspiera intuicję. Nie można – jak sadzę – zostać dobrym fotografem czytając książki o fotografii, ale mogę sobie pomóc łącząc teorię z praktyką. A zatem do tej praktyki zaliczam także dyskretne obcowanie z życzliwie nastawionymi do mnie, amatora i samouka, doświadczonymi fotoreporterami.

**– Wspominany tu już Mariusz Forecki wysoko ocenia twoje umiejętności oraz twój talent. Jak sądzisz, co Mariusza mogło zainteresować w twoich fotografiach?**

– Mariusz po prostu lubi żartować... Zaszczycem jest dla mnie, że takie autorytety w dziedzinie fotografii, jak między innymi Chris Niedenthal, Tadeusz Rolke, Maciej Szymanowicz, czy profesor Piotr Chojnacki zauważyli moje zdjęcia przesłane na konkursy i – co jest dla mnie bardzo ważne – wyrazili swoją opinię na ich temat. Miłe są słowa pochwały, ale sensowna analiza krytyczna powoduje, że realnie oceniam swoje poczynania, pokazuje, w jakim jestem miejscu. Dzięki uwagom krytycznym nie wpada się w samozadowolenie. Mam nadzieję, że na moich zdjęciach jest nie tylko to, co się rzuca w oczy od razu, ale także to coś, co jest głębiej. Jeżeli tak jest i jeżeli Mariusz dostrzegł w nich to coś, to nie pozostaje mi nic innego, jak tylko brać się do wyężonej pracy, bo edukacja w fotografii nie kończy się nigdy.

**– Masz w tym świecie jakichś mistrzów, którzy są dla ciebie czymś w rodzaju punktu odniesienia?**

– Z polskich fotoreporterów najbardziej „wciągają” mnie zdjęcia Witolda Krassowskiego. One mają w sobie coś, czego ja nie potrafię określić, ale wiem, że mógłbym je oglądać na okrągło. Dodam tylko, że miałem przyjemność brać udział w spotkaniu z Witoldem Krassowskim, spotkaniu zorganizowanym kilka lat temu przez WBPICAK. Oczywiście, jak zawsze w takiej sytuacji, poświęciłem dzień urlopu na tę okoliczność. Ponadto, skoro już o tym rozmawiamy, cenię wysoko fotoreporterów czeskich. Oglądam ich zdjęcia nie po to, żeby się na nich wzorować, ale żeby się czegoś od nich nauczyć. Skoro nie mogę studiować w Opawie, to odbywam swoje prywatne małe studia w Internecie. Z tego samego powodu, gdy tylko jest to możliwe, interesuję się fotografią naszych, bardzo dobrych poznańskich fotoreporterów.

**– Coś cię w ich zdjęciach zaskakuje?**



Pyrkon, Poznań 2010

– Bardzo pozytywnie zaskakują mnie fotografie jednego z nich (świadomie pomijam nazwisko, żeby nie sugerować, że innych cenię mniej). Nie wiem, jak on to robi, że potrafi niektóre proste sytuacje pokazać tak niesamowicie dynamicznie. To są dla mnie regiony nieosiągalne, ale trochę już wiem, jak on pracuje. Jest skromny, nie rzuca się w oczy, nie rozstawia na boki drobiazgu fotograficznego, nie afiszuje się nalepkami pięciu agencji fotograficznych, natomiast efekty jego działań mnie powalają.

### **– Co już wiesz o fotoreportażu, bez czego dzisiaj nie wychodzisz w miasto?**

– Są to ciche, aczkolwiek powszechnie znane zasady. Jedna z nich mówi: zakładasz do aparatu stałe szkło, wchodzisz między ludzi, stajesz się niewidzialny. Inna zasada: jeżeli fotoreportaż jest słaby, to znaczy, że nie byłeś dostatecznie blisko. Trzecia zasada: bądź czujny i miej oczy dookoła głowy.

**– Ustalmy zatem fakty dotyczące twojej osoby: nadal uważasz się za szlachetnego amatora; w sprzyjających okolicznościach mógłbyś podjąć trud profesjonalizacji; w swojej ukochanej dziedzinie, czyli w fotoreportażu, osiągnąłeś ewidentny sukces, o czym świadczą werdykty wielu kolejnych konkursów fotograficznych; ergo – jesteś utalentowanym pasjonatem, który doszedł do wszystkiego własną pracą i siłą własnych zdolności. Wśród amatorów, z którymi już wygrałeś, więcej nie osiągniesz. Ponieważ nie zamierzasz w najbliższym czasie zmienić swojego statusu zawodowego, rodzi się pytanie o twoją wizję siebie samego, o marzenie na własny temat. Jak zatem wygląda ta wizja fotoreportera, który normalnie chodzi do niefotograficznej pracy, a jednocześnie chce się rozwijać i zdobywać kolejne progi wtajemniczenia?**

– Skoro o wizji mowa, to chciałbym mieć dokument, najlepiej po jakimś profesjonalnym kursie z ministerialnym certyfikatem, uprawniający mnie do wykonywania tego

zawodu. Chodzi o kurs, którego nazwa dobrze by brzmiała przetłumaczona na ogólnodostępny język, czyli na język angielski. Takie uprawnienia dawałyby mi możliwość wykonywania tego zawodu w każdym miejscu na kuli ziemskiej. Uzupełnieniem tej wizji byłaby opinia krążąca o fotoreporterach: trzeba być nieźle zwariowanym, żeby dla jednego zdjęcia wstawać w nocy, marznąć godzinami w miejskiej dżungli lub przedzierać się w deszczu i po błocie tylko po to, aby dotrzeć do miejsca, gdzie może, ale nie musi, zdarzyć się coś ciekawego. Ja chyba jestem do tego stopnia zwariowany, żeby dla dobrego zdjęcia podejmować takie ryzyko. Tak wygląda prawda o mojej skromnej osobie. Chciałeś wizji, to ją znasz. Odwrotnością tej wizji są słowa jednego z moich kolegów, także fotoreportera, który kiedyś powiedział: „Paweł, po co ci papiery, skoro w tej branży wystarczą dobre foty? Jeżeli pójdziesz gdzieś z naprawdę dobrymi zdjęciami, to nikt cię nie spyta o papiery. Ale jeżeli najpierw pokażesz papiery, to każą ci je schować do szuflady, a wyjąć z niej zdjęcia”. Tak więc odwrotnością tej wizji są uprawnienia instruktorskie i praca na etacie w jakimś domu kultury. Nie jest to na pewno złe rozwiązanie, ale nie do końca jestem pewien, czy dom kultury jest właściwym miejscem dla fotoreportera.

### **– Na jakim sprzęcie pracujesz aktualnie?**

– Zaczniemy od tego, że jeżdżę starym samochodem, mieszkanie jak widzisz wymaga remontu, lodówka jest na kredyt, komputer trochę buczy, ale za to mam jeden obiekttyw „20” i jeden „50”, oraz „80-200”. Przeszedłem w bólach z Nikona D70 na Fuji 5PRO, a w tej chwili na używanego Nikona D700. I oczywiście jest jeszcze wspomniana wcześniej lampa błyskowa.

### **– Ktoś ci w tej materii doradza, czy działasz na wyczucie?**

– Nie stać mnie na kupowanie czegokolwiek w ciemno, więc muszę mieć wiarygodne źródło wiedzy w tej materii. Od pierwszego zakupu doradza mi ta sama osoba. Od niej



Kolędnicy, Owińska 2009

wiem, co mogę zrobić przy pomocy jakiego sprzętu. Osiągnąłem bardzo przyzwoite minimum i to mi wystarczy. Na ten sprzęt wydałem kupę forsy, ale gdyby nie cenne wskazówki, to wydałbym dwa razy tyle.

**– Jesteś więc usprzętowany na poziomie zadowolającym?**

– Mogę natychmiast stworzyć listę tego, co bym jeszcze chciał mieć, a co mi brakuje, ale skoro nie mam do tych narzędzi dostępu, to radzę sobie przy pomocy tego, co mam. Natychmiast dokupiłbym tylko jeden obiektyw, ale nie mam w tej chwili wolnych kilku tysięcy złotych. Do tej pory swoją bazę sprzętową kompletowałem za pieniądze, które wygrałem w konkursach fotograficznych. Tak więc, obok satysfakcji z tego, że moje kadry zauważali jurorzy z najwyższej półki, mam z tych konkursów także wymierny pożytek. Nie odbieram rodzinie ostatnich oszczędności.

**– Mija sześć lat od momentu, gdy zacząłeś poważnie zajmować się reportażem i odnosić w tym fachu spektakularne sukcesy. Czy dzisiaj z tego powodu odczuwasz jakiś rodzaj spełnienia, a twoje życie dzięki fotografii nabiera nowego, głębszego sensu?**

– Zdecydowanie tak. Na początku naszej rozmowy powiedziałem, że pragnąłem zobaczyć jedno choćby swoje zdjęcie w katalogu wystawy pokonkursowej. Wtedy, gdy hodowałem w sobie to skromne marzenie, nie dopuszczałem myśli, że mogę kiedykolwiek wygrać jakikolwiek poważny konkurs fotograficzny. Dzisiaj nieśmiało mam zaszczyt pojawiać się w gronie uznanych, renomowanych fotoreporterów zawodowców. Dzisiaj ci panowie są moimi kolegami. Nigdy nie sądziłem, że to wszystko mi się przydarzy. Mam więc poczucie spełnienia. Moja przygoda z fotografią nabiera bardzo wyrazistego sensu. Skoro jednak zaszedłem tak daleko, to teraz trzeba iść dalej. A w moim przypadku „dalej” znaczy tyle, że muszę sobie wyznaczyć kolejny cel. Moim celem nie może być Swarzędz, bo raz, że nikt mnie tutaj nie zna (w Swarzędzu mieszkam dopiero

15 lat, a wcześniej mieszkałem w Poznaniu), a już na pewno nie od strony fotograficznej, a dwa – pomysł na własny klub fotograficzny, na wzór tego co robiła GAFA w Gnieźnie, albo co robi nadal Lech Szymanowski w Wągrowcu, to chyba na razie marzenie ściętej głowy. O przyczynach takiego stanu rzeczy już mówiliśmy, więc nie będę się powtarzał. Mówiąc krótko, w Swarzędzu kojarzę się ludziom z warsztatem samochodowym, a nie z fotografią.

**– Jednym słowem – *per aspera ad astra* (przez ciernie do gwiazd)?**

– Nie jest to nowy problem. Po lekturze kolejnych książek z serii Fotografowie Wielkopolski dowiaduję się, że inni koledzy mieli te same, co ja, dylematy. Też stali na rozdrożu i też zastanawiali się, co dalej. Z wypowiedzi Waldka Śliwaczyńskiego, Lecha Szymanowskiego oraz Moniki Pogorzelec i Bartka Króla jasno wynika, że w tej materii nie ma złoto-tego środka. Albo jest się animatorem i tylko animatorem, albo jest się fotografem, który pracuje na własny rachunek. Ja już wiem, że nie można być w tych samych spodniach na dwóch weselach jednocześnie. Tak więc nie mogę być jednocześnie skutecznym animatorem, aktywnym fotografem i jeszcze pracować zawodowo w innej branży. Problem ten jest rodzajem kwadratury koła, a ten przypadek geometryczny, jak powszechnie wiadomo, nie został do tej pory rozwiązany. Mnie interesuje bardziej klubowe życie fotograficzne niż prowadzenie regularnej sekcji w domu kultury, podlegającej wszelkim rygorom instytucjonalnym, ale ponieważ wszystkie te zagadnienia rozpatruję wyłącznie teoretycznie, to dalsza dyskusja na ten temat jest raczej bezprzedmiotowa. Jedyny pewnik w tym wszystkim jest taki, że nadal chcę zajmować się fotoreportażem i że coś chcę w swoim życiu zmienić, aby być jeszcze bliżej fotografii.

**– Pawle, rozmawialiśmy o różnych rzeczach i wygląda na to, że najważniejsze sprawy związane z tobą i twoim widzeniem świata przez obiektyw aparatu zostały w tej rozmowie poruszone. Wyobraź sobie jednak, że**



Poświęcenie pomnika Chrystusa Króla, Świebodzin 2010

**ta rozmowa jest prowadzona na scenie dużego teatru lub przed kamerami telewizyjnymi. I masz ostatnie pięć minut wyłącznie dla siebie, aby powiedzieć coś, o co nie zapytałem, a co może być dla ciebie bardzo ważne. Możesz też wygłosić jakiś manifest artystyczny, albo podzielić się z publicznością niezwykle istotną refleksją w kwestii fotografii lub własnego życia. Start.**

– Moja droga do obecnego poziomu fotograficznego wiodła od początku przez obszary pozbawione specjalnych widoków na spełnienie. Szczerze mówiąc nie wiem, jak to się stało, że jestem tu, gdzie jestem, choć wiem (i mówiliśmy o tym wcześniej) jakie zdarzenia temu towarzyszyły i jacy ludzie temu patronowali. W sumie jest to dla mnie jedną wielką zagadką. W tym wszystkim musi być chyba ukryta ręka Opatrzności, bo od wczesnej młodości niemal wszystko wskazywało mi inną drogę, na której uprawianie fotografii było czystą abstrakcją. Rzecz w tym, że w wieku 16-17 lat zacząłem tracić wzrok. Groziła mi nawet częściowa ślepota. I praktycznie, gdyby nie bezinteresowna pomoc przypadkowo poznanych przez mojego ojca Holendrów, którzy zaprosili mnie do siebie, zorganizowali tam badania wzroku i zebrali wśród swoich znajomych pieniądze na zakup specjalistycznych soczewek kontaktowych (bo w Polsce nikt wtedy nie mógł mi pomóc), to mógłbym zapomnieć o normalnym życiu. Te soczewki uratowały mi wzrok (obecnie mam zaledwie minus 7), a gdyby nie one, to dzisiaj na pewno nie prowadzilibyśmy tej rozmowy. To znaczy rozmawiać pewnie byśmy mogli, ale na pewno nie o fotografii i fotografowaniu.

**– Skoro jednak jesteś po jasnej stronie mocy, za co dziękujemy zaprzyjaźnionym obywatelom Holandii**

**i Opatrzności, to zakończmy tę rozmowę jakimś pozytywnym przesłaniem.**

– Dziękuję wszystkim życzliwym ludziom, których spotkałem na swojej drodze. Zwłaszcza dziękuję gronu poznańskich fotoreporterów za bezcenne rady i fakt, że nie zostałem przez nich odrzucony, jako prosty amator. Myślę, że wybaczą mi to, iż nieraz niechcący wchodziłem im w kadr. Dziękuję panu, który w 2005 roku w drzwiach Pałacu Kultury wręczył mi ulotkę i zachęcił do przyjazdu na warsztaty fotograficzne w Wągrowcu. Bez tego „biletu” do lepszego świata nadal pewnie fotografowałbym wschody i zachody słońca, krople rosy na listkach i robaczki. A co do mojego wieku, to chcę tylko powiedzieć, że fotografia mnie odmładza o dobre 20 lat. Idąc z aparatem robić zdjęcia na konkretnej imprezie, zazwyczaj nadaję za dużo ode mnie młodszymi kolegami. A warto pamiętać, że niemal wszyscy poznańscy fotoreporterzy to są młodzi ludzie. I na koniec powtórzę słowa Chrisa Niedenthala, przewodniczącego jury, który podczas ogłoszenia wyników konkursu Wielkopolska Press Photo, przy okazji omawiania zdjęć przyrodniczych i aktów powiedział, że nie jest jeszcze taki stary, aby fotografować dziewczyny w lesie. Całkowicie się z tym poglądem zgadzam, także w kontekście swoich własnych działań fotograficznych.

© K. Sz.

© P. Sz.



Z zestawu „Pomnik Świebodzin” – Grand Prix, Polanica Zdrój 2011; II miejsce „W Obiektywie Kalisz 2011”



**PAWEŁ SZOTT** – urodzony w Poznaniu w 1959 roku. Od kilkunastu lat mieszka w Swarzędzu. Absolwent Zasadniczej Szkoły Samochodowej i Technikum Samochodowego w Poznaniu. Fotografiją zajmuje się od około 6 lat jako fotograf niezależny. Samouk. Uczestnik – jako wolontariusz-instruktor (w latach 2007-2009) – warsztatów fotograficznych dla osób niepełnosprawnych intelektualnie. Wziął udział w „PKS – Projekt 10.10.2010” – Kościan. Jedyna do tej pory wystawa indywidualna, to „Spotkania, zdarzenia, po drodze” – Gniezno 2009, Mała Galeria MOK.

*Bohaterami moich fotografii są ludzie uwikłani w mniej lub bardziej przyjazne im zdarzenia. Staram się być uwrażliwiony na konkretną sytuację, rejestrować wszystko to, co ich spotyka, a co wzbudza moje zainteresowanie. (P. Sz.)*

[www.fotoszott.pl](http://www.fotoszott.pl)

### **Ważniejsze nagrody**

#### **2011**

– Ogólnopolski Konkurs na Fotoreportaż, Polanica Zdrój, Grand Prix

– „W obiektywie 2010”, Wieża Ciśnień, Kalisz, II nagroda

#### **2010**

– „Moja Wielkopolska 2010”, WBPiCAK Poznań, I miejsce

– Ogólnopolski Konkurs Fotograficzny „Wszystkie Dzieci Świata”, Pacanów, III nagroda

– „W Obiektywie 2009”, Wieża Ciśnień, Kalisz, II nagroda

#### **2009**

– „Wielkopolska Press Photo 2009”, Poznań, III nagroda w kategorii zestaw



– „Moja Wielkopolska 2009”, WBPiCAK Poznań, I nagroda  
– Międzynarodowy Konkurs Fotografii „Zestaw”, Świdnica, wystawa pokonkursowa

#### **2008**

– „Wielkopolska Press Photo 2008”, Poznań, I nagroda w kategorii zestaw

– „Zdjęcie Roku 2008”, WBPiCAK Poznań, I nagroda

– „Człowiek i jego pasje”, MDK Turek, III nagroda

#### **2007**

– „Moja Wielkopolska – Rodzina”, WBPiCAK Poznań, wyróżnienie

#### **2006**

– „Od wschodu do zachodu słońca”, Czeszewo, I i III nagroda

Zdjęcie na okładce: „Poznań wystawa gołębi 2008” – III nagroda „Moja Wielkopolska 2008”; Zdjęcie Roku WBPiCAK, Poznań 2008



## Seria wydawnicza Fotografowie Wielkopolski

Seria wydawnicza Fotografowie Wielkopolski to rozmowy Krzysztofa Szymoniaka z działającymi w naszym województwie interesującymi przedstawicielami świata fotograficznego, których aktywność często jest nieznana, bądź znana, ale tylko w ograniczonym zakresie. Publikacje mają w przystępnej formie udostępnić szerszej publiczności ich dorobek, pozwolić poznać ich myśl teoretyczną, a poza tym stanowić przyczynek do dalszych badań nad rozwojem ruchu fotograficznego w Wielkopolsce.

Krzysztof Szymoniak jest fotografującym dziennikarzem, nauczycielem akademickim i poetą związanym z Kępem, Gniezmem i Poznaniem.

Dotychczas ukazały się:

- Waldemar Sliwczyński: **Obrazy z przypomnienia**
- Paweł Kosicki: **Jestem z miasta**
- Maciej Frankowski: **Nie sprzedaje się duszy**
- Piotr Chojnacki: **Aura i sacrum**
- Bogusław Biegowski: **Moje nie-miejsca**
- Robert Andre: **Ubieranie w światło**
- Stefan Wojnecki: **Zmienia się oblicze świata**
- Jerzy Mianowski: **Spełniam się każdego dnia**
- Wojciech Beszterda: **Wyprawa za horyzont**
- Monika Pogorzelec i Bartłomiej Król: **Na rozdrożu**
- Mariusz Forecki: **Mówię językiem o obrazu**
- Lech Szymanowski: **Odkryć czas prowincji**
- Maciej Mańkowski: **Marzenia - moja energia**

Koordynator projektu: Władysław Nielipiński  
Redaktor techniczny: Ewa Oleszek

Wojewódzka Biblioteka Publiczna i Centrum Animacji Kultury  
60-819 Poznań, ul. Prusa 3  
tel. 61 6640867  
foto@wbp.poznan.pl  
www.wbp.poznan.pl

ISBN: 978-83-62717-10-1